ZABAWNE ZDARZENIA BARTŁOMIEJA POWSINOGI

łgarza jakich mało.



ZABAWNE ZDARZENIA

Bartłomieja Powsinogi

łgarza jakich mało.



A. A. PARYSKI, TOLEDO, OHIO.
1916.

I.

O NIESŁYCHANIE WIELKIEJ BRODZIE, JAKĄ NIEGDYŚ MIAŁEM, I O MOIM DAWNYM NOSIE PÓŁMILOWYM, NA KTÓRYM WSIE I MIASTA BUDOWANO.

Jeszcze malcem będąc, zacząłem już wzdychać do brody i wąsów, i starałem się w różnorodny sposób, aby pod mym nosem, gdzie jeszcze prawie zawsze wilgoć zamieszkiwała, i na mej brodzie wywołać zarost. Wiele środków używałem bez skutku; wreszcie doczytałem się w jednej starej żydowskiej książce o niezawodnym środku na porost włosów, i przyrządziłem go sobie. W godzinę po użyciu tego cudownego środka miałem już tak długie wąsy i brodę, jak najtęższa łąka. Żeby zaś i inni ludzie nie przyszli w posiada-

nie tego nieopłaconego środka, spaliłem natychmiast ową książkę, zatrzymując dla siebie w słoiku resztę tej drogocennej maści. Po kilku dniach miałem już tak długą brodę, że mi ją kilku ludzi nieść musiało, a w miesiąc potem już ją na stu wozach musiałem dać wieźć przed sobą. Jak początkowo ucieszyłem się z ukazania się mi na brodzie zarostu, tak teraz złorzeczyłem memu ówczesnemu wzdychaniu do brody i wąsów, i owej książce, w której ten cudowany środek na porost włosów znalazłem. Miałem też słuszny powód do skarg, bo pominąwszy już niewygodę z taką długą brodą, przyprawiła ona mię niemal o śmierć. A było to tak: Pewnego razu wyszedłem na przechadzkę, aby odetchnąć świeżem i zdrowem powietrzem, jak to i teraz wielu mieszczuchów czyni. Wracając do domu, a nie widząc dobrze drogi dla mojej długiej brody, wstąpiłem w kupkę gliny, poślizgnąłem się i jak długi rąbnąłem o ziemię, uderzywszy przytem nosem o kamień. Od tego uderzenia tak mi zaczął nos puchnąć i róść, że nie wiedziałem sobie już żadnej rady. Wkrótce osięgnął mój nos pół mili długości i odpowiednią do tego objętość. Skoro mieszkańcy Utopii zobaczyli mój ogromny nos i sporą przestrzeń na nim niezamieszkaną od nikogo, uradowali się co najmniej tak jak Kolumbus, gdy odkrył Amerykę. Nie namyślając się długo, upatrzyli sobie chwilę mej drzemki po-obiedniej i zaczęli się sprowadzać taczkami i psami na mój nos i budować sobie na nim wsie i miasta. Na mą interwencyę odpowiedzieli mi, że tylko dla mego bezpieczeństwa to uczynili; i że, gdyby nie oni, mogliby mój nos wziąć w posiadanie jacy ludożercy, którzyby mi się dopiero dali we znaki. Z początku płacili mi przynajmniej tyle dzierżawy, że mogłem sobie kupić tabaki, której codziennie dwa centnary i pół trzecia funta spotrzebowałem; ale wkońcu gdy porośli w pierze, nie chcieli dać mi ani szeląga, utrzymując, że to odwieczna siedziba ich pra-pra-pra-pra-ojców i pra-pra-pra-pra-dziadów. Może sobie każdy wystawić przykrość mego położenia!

Niedość, że musiałem męczyć się i trudzić, aby unieść mój nochal ogromny i niesłychanie wielką brodę; niedość, że patrzeć musiałem na to, jak mieszkańcy mego nosa siedzieli sobie wygodnie pod ścianą i kurzyli ulubioną lulkę, pod czas gdy ich trzody pasły się wygodnie w mojej brodzie niby w puszczy litewskiej — musiałem na mą zgryzotę i tego jeszcze być świadkiem, jak wszelkiemi sposobami starali się o przeistoczenie kształtów mego nosa do tego stopnia, ażebym ja sam go nawet nie poznał i nie mógł rościć sobie w przyszłości pretensyi do niego. Tego już mimo mego dobrego żołądka strawić nie mogłem. Postanowiłem tedy bądź co bądź pozbyć się i mojej długiej brody i mego ogromnego nosa wraz z jego niewygodnemi mieszkańcami. Zwoławszy w tym celu za pomocą ogłoszeń w "Bazgraninie" trzysta czterdzieści rzeźników, kazałem im zabrać się do rąbania mego nosa. Rąbali i rąbali, a

nos co nie malał, to nie malał; dopiero gdy przybył znany rzeźnik Morawski ze swymi czeladnikami, poszła sprawa szybciej. Mieli jednak wszyscy razem jeszcze trzy lata, pięć miesięcy, trzy tygodnie, dwa dni i jedną godzinę do czynienia, zanim się uporali z swoją pracą. Z mego nosa i jego mieszkańców zrobili 20 tysięcy centnarów kiszek i wytopili pięćdziesiąt beczek oleju, który wszystek sprzedałem do apteki, a pieniądze schowałem do kieszeni. Kiszki otrzymali rzeźnicy za swą pracę. — Następnie sprowadziłem 300 balwierzy i 250 kośników, i kazałem im ciąć i golić mą brodę. Po dwóch latach i pięciu miesiącach dokonali swą trudną i mozolną pracę i uwolnili mię od mego ogromnego brodziska. Siano uzyskane z mej brody, a było go coś około 400 fur, ofiarowałem radnym miasta Mnachel, aby niem zatknęli dziurę, z której tak uciążliwe podatki wieją na biednych mieszkańców tego miasta.

II.

O OLBRZYMIEJ BECZCE CZYLI KADZI, NIEZWYKŁYCH POTRAWACH I O DANIU POLICZKA, OD KTÓREGO SIĘ TWARZ KU PLECOM PRZEKRĘCIŁA.

Aby jak najlepiej użyć pieniędzy otrzymanych za olej z mego uciętego nochala, postanowiłem wyuczyć się bednarstwa i prowadzić potem to rzemiosło na wielką skalę. Wiadomo bowiem każdemu, że nic tak ludziom nie dolega jak brak klepek. Jednym braknie tylko piątej klepki, drugim braknie ich i więcej; inni zaś mają wprawdzie wszystkie klepki, ale tak rozluźnione, że bez należytego uporządkowania ich i pobicia obręczą na nic pożytecznego im się nie przydadzą. Otwierało się przedemną obszerne pole pracy i wielkiego zarobku... Majster Klepka przyjął mnie z wielką chęcią w naukę i posłał mnie zaraz do swego warsztatu, w którym pracowało wówczas przeszło

sto trzydziestu czeladników nad kadzią, którą cesarz turecki dla swego browaru był zamówił. Kadź ta była tak wielka, że gdy owych sto trzydziestu czeladników stanęło przy niej do roboty, to tak daleko jeden stał od drugiego, że się widzieć nie mogli. Pracowali oni i pracowali, a roboty ich wcale znać nie było. Dopiero gdy ja przybyłem i stanąłem przy kadzi, i zacząłem razem z nimi klepać i obręcze pobijać, poszła robota tak szybko, że już w trzy miesiące kadź była gotowa. Majster Klepka tak był z naszej roboty zadowolony, że wyprawił nam bankiet, o jakim jak świat światem, nikt jeszcze nie słyszał. Bo proszę tylko posłuchać, cośmy mieli za specyały na obiad:

Były wilcze pasztety i kiełbasy lisie,
Para żab szpikowanych na głębokiej
[misie,
Zwierciadło do rosołu, z chrzanem
[barskie mydło,
A do ostrego pieprzu wirwanty
[i szydło.

Z szczenięcia siekanina, kocię do sałaty
I z starego kożucha przypiekane łaty.
Szołdry z udów komorznych i wątróbki
[musze
Żądła szerszenie w gorzkiej zapra-
[wione jusze
Salamandra pieczona, żółto krakacica
Smolne sęki, z wapnem smażona
[żywica.
Obuch kwaśno z sieradzka, skówka z
[furdymentem,
Stary połhak z oliwą, buzdygan z
[cementem.
Kuropatwa pod wiecheć, wroni nos z
[powidłem,
Sroczy ogon z bocianim przyprawiony
[skrzydłem.
Psi bigos z kaparami na zimno
[sadzony,
Skok zajęczy z cebulą w oleju smażony.
Z młodych żab galareta, chrząszcze do
[podlewy,
Z octem, z pieprzem, z cebulą krążone.
[cholewy.

Nietoperze suszone i sowie frykasy,
Krecie sadło spuszczone pięknie do
[okrasy.
Broda wielka na misie kaszą po-
[pluskana,
Przy niej ponta niemiecka jajem
[pomazana.
Wilcze zęby na wety, jastrzębie
[pazury,
I gołębiego mleka tureckie farfury.
Świnie masło, ser z wieprza, cielęce
[śmietanki
I z jesionowej skóry przysmażane
[grzanki
Z młodych olszyn jagody, z ciernia
[cierpkie śliwy,
Z starych sosien daktyle, suszone
[pokrzywy.

Byłbym niezawodnie u mego majstra dokończył nauki i został czeladnikiem, gdyby nie następująca okoliczność. Przy obiedzie mówiono dużo o pracy, jakiej wymagało wykończenie tak wielkiej kadzi, i główną zasługę tego szybkiego wykończenia słusznie

mnie przypisywano. Na to rozśmiał się jeden z chłopców usługujących nam przy stole, i zaczął się ubliżająco o mnie wyrażać. Wzięła mię tedy szewska pasya, popędziłem za nim i dogoniwszy go na dworze, tak wyciąłem go w zjadaczkę, że mu się takowa aż na



plecy przekręciła i tak już została. Nie chcąc się za tę moją odwagę i siłę zapoznać z kozą, porzuciłem naukę bednarstwa, i zebrawszy czemprędzej moje manatki, ruszyłem w świat daleki.

III.

O BUTACH, W KTÓRYCH CO KROK TO SIEDM MIL ZROBIŁEM.

Zaledwie wyszedłem za miasto, napotkałem podróżnego proszącego o wsparcie. Obdarzyłem go stosownie do posiadanych pieniędzy i chciałem w dalszą iść drogę, gdy wtem ów podróżny odzywa się do mnie: "Mości Panie! Zabezpieczyłeś mię swym datkiem na długi czas od głodu: racz więc przyjąć ode mnie w dowód mej wdzięczności te oto buty, które dla mnie są już zupełnie zbyteczne, a które tobie bardziej się przydać mogą... W pierwszej twej potrzebie wdziej je na nogi, a wtedy poznasz ich wartość." To mówiąc, wyjął z zawiniątka przechodzone już buciska, i podawszy mi je, ruszył ku miastu. "Co mi po tych przechodzonych butach? i bez nich mam już dość do niesienia!" pomyślałem sobie, i chciałem je położyć na kamieniu przy drodze dla kogoś potrzebniejszego, gdy wtem spostrzegam chmarę ludzi pędzących z miasta ku

mnie. Byli oni uzbrojeni w kosy i widły, i mieli ze sobą sikawkę od ognia, którą dowodził mój były majster Klepka. Domyśliłem się zaraz, że chcą mię dogonić i zmusić do dokończenia nauki i do dania wścibskiemu chłopcu także z drugiej strony w papę, ażeby się mu twarz napowrót na przodek przekręciła. '(Co do pierwszego, to się tego nigdy nie doczekacie, a co do chłopca, to z tem nie ma takiego gwałtu!'' pomyślałem sobie, i dalej w nogi. Pędzę i pędzę, a tu pogoń coraz bliżej mnie; już słyszę chrzęst kos i widzę strumień wody spadający na mnie. W tej chwili przypomniały się mi słowa podróżnego. W okamgnieniu zrzucam z nóg moje buty i wciągam buty otrzymane od niego, robię kilka kroków i oglądam się za siebie, aby zobaczyć co się za mną dzieje. Co u licha! nikogo nie mogę dojrzeć. Stanąłem zatem, oglądam się na wszystkie strony i widzę, że jestem w stronach wcale mi nieznanych. Dopiero teraz poznałem wartość otrzymanych od podróżnego butów, w których co krok to siedm mil zrobiłem.

IV.

CUDY NIEWIDY Z MEJ PODRÓŻY DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA KULI ZIEMSKIEJ.

Będąc w posiadaniu tak cennych skorochodów i mając przytem sporo grosza w kieszeni, postanowiłem zwiedzać różne kraje. Pamiętacie może jeszcze, jak uczono was w szkole, że ziemia obraca się wkoło swej osi. Tę oto oś pragnąłem sobie bardzo obejrzeć, i w tym celu udałem się w podróż do północnego bieguna ziemi. W kilka godzin dostałem się nad północny ocean lodowaty, a potem po olbrzymich krach i lodowcach dotarłem na koniec ziemi i stanąłem szczęśliwie zupełnie przy jej osi. Szczęściem było dla mnie, że to dość wcześnie spostrzegłem, bo gdybym był jeden jedyny krok postąpił dalej, byłbym spadł na łeb i dostał się tam, gdzie jeszcze dotąd nikt nie był. Ciekawiście może wiedzieć, o ile oś ziemi grubsza od osi naszego woza? To wam mogę z łatwością powiedzieć, bo obej-

rzałem ją sobie jak najdokładniej. Jest ona obecnie już tylko tak gruba, jak burmistrz miasta Świnioburga; widać jednak, że musiała być kiedyś kilka tysięcy razy grubszą; lecz przez ciągłe tarcie powoli się spotrzebowała. Mojem zdaniem, nie wytrzyma ona już wiele co dłużej nad sto lat, i jeżeli nie zostanie dość wcześnie zastąpiona inną, domyśleć się każdy może, co się natenczas z naszą ziemią stanie. — Nieznośne zimno, jakie przy biegunie czyli osi ziemskiej panuje, nie pozwoliło mi zabawić się tam dłużej nad 10 minut. Uchodząc z tej krainy wiecznego zimna, chciałem sobie jeszcze zobaczyć białe polarne niedźwiedzie, których na pobrzeżach północnego oceanu lodowatego ma się sporo znajdować. Chodzę i chodzę, a tu ani widu ani słychu o niedźwiedziach; widocznie musiały się mnie ulęknąć i schroniły się w ostatnią dziurę. Wreszcie spostrzegam w oddali jakiś punkt czarny i dążę prosto do niego. Patrzę, a tu stoi bogato i gustownie ubrany człowiek jakby przykuty do ziemi. Skoro mię zobaczył, wyciąg-

nął ku mnie ręce i zaczął ruszać ustami, jak gdyby mi co powiadał lub o co mię prosił. Żadnego jednak słowa ani głosu z ust jego dosłyszeć nie mogłem. Natomiast spostrzegłem, że przy każdem jego otworzeniu ust, wychodziły mu z nich różne zlodowaciałe esy floresy i padały przed nim na ziemię. Domyśliłem się zaraz, że przyczyną tego zjawiska był niesłychanie wielki mróz, który każde słowo z ust owego biedaka wychodzące natychmiast w lód zamieniał i brzmienia je pozbawiał. Ale tego nie mogłem jeszcze pojąć, czemu w tak wielkiem zimnie stoi nieruchomo wciąż na jednem miejscu, zamiast chodzeniem rozgrzewać się. Dopiero przy bliższem badaniu poznałem, że biedak przystanął na chwilkę, aby zapalić sobie cyagro, a tymczasem przymarzł jego cień do ziemi, i w żaden sposób oderwać się nie dał. Natychmiast zająłem się tym biedakiem, i położywszy się na zmarzłą ziemię, chuchałem tak długo na przymarznięty cień, dopóki się tenże zupełnie od ziemi nie odczepił. Następnie zebrawszy z ziemi do kieszeni

wyszłe z ust biedaka esy floresy, wziąłem mego pana brata pod ramię i opuściłem z nim pobrzeża morza lodowatego. Zaledwo przyszliśmy w strony cieplejsze, zaczęły się z mej kieszeni dobywać różne jęki i lamenta, a zarazem poczułem jakąś wilgoć na mym boku. Nie trudną było dla mnie rzeczą domyśleć się przyczyny powstania tych głosów; to też czemprędzej wyjąłem z kieszeni owe lodowe esy floresy i trzymając je w ręku aż do zupełnego ich roztopienia, przysłuchiwałem się uważnie powstającym stąd wyrazom. Po chwili odbił się o moje uszy żywy głos mego towarzysza. Serdecznemi słowy dziękował on mi za swe ocalenie od niechybnej śmierci, i prosił mię, ażebym w nagrodę wypełnienia na nim chrześcijańskiego uczynku zechciał przyjąć od niego sakiewkę, mającą tę własność, że choćby z niej ciągle pieniądze wybierano, nigdy jednak w niej takowych nie zabraknie. Nie mogłem odmówić jego szczerej i usilnej prośbie, i sakiewkę przyjąłem. Następnie pożegnaliśmy się, i każdy poszedł w swoją stronę.

V.

KILKA SZCZEGÓŁÓW Z MEJ PODRÓŻY DO AFRYKI.

Ażeby wygnać zimno, które po odbytej podróży do bieguna we mnie jeszcze tkwiło, udałem się w podróż do Afryki południowej. Zaraz na wstępie mej podróży napotkałem trzech wędrowczyków, z których pierwszy był nagim, drugi niewidomym, a trzeci kulawym. Wtem ów niewidomy zoczył zająca i wskazał go kulawemu; ten puścił się za zającem i w mgnieniu oka dognawszy go, oddał go nagiemu, który czemprędzej schował go za pazuchę.

Gdym stanął w mieście Niedopytajewie, które mniejwięcej trzy razy jest tak wielkie jak Londyn, usłyszałem wielki rozhowor na rynku. Na moje pytanie: coby tam takiego zaszło, odpowiedziano mi, że stracono co dopiero oszusta, który zbierał śnieg na ulicy, suszył go na piecu i potem za sól sprzedawał. "Kiedy w tem mieście tacy spryt-

ni są ludzie, warto w niem dłużej zabawić!" pomyślałem sobie, i wkwaterowałem się do pierwszej oberży, jaką napotkałem. Przyczyną, że się ów ogień tak rozszerzył, było to, że sikawki miejskie były zepsute i do gaszenia niezdatne. Ażeby się taki fatalny przypadek więcej nie powtórzył, wydał tamtejszy burmistrz rozporządzenie, ażeby na przyszłość wszystkie miejskie sikawki trzy dni przed każdym pożarem zostały naprawione i dokładnie wypróbowane. Tenże burmistrz, gdy mu przyprowadzono złodzieja pochodzącego z innego miasta, w którem nie było szubienicy, celem powieszenia go, rzekł: "My mamy szubienicę tylko dla siebie i dla naszych dzieci; najlepiej dał złodziejowi kilka groszy na powróz, i niech się sam gdzie chce powiesi!" Nie sprzeciwiano się tak rozsądnej radzie, i odtąd sława onego burmistrza utrwaliła się na wieczne czasy.

Zwiedziwszy jeszcze po drodze wiele innych miast, stanąłem wreszcie w Afryce, gdzie byłbym może całe me

życie przepędził, gdyby nie następująca przygoda. Gdym pewnego skwarnego dnia spoczywał w cieniu rozłożystego drzewa, spostrzegłem nagle straszną hyenę, pędzącą wprost ku mnie. Wiele czasu nie miałem do stracenia, bo potworne zwierzę było zaledwie pięćdziesiąt kroków odemnie, a prócz pięści nic miałem nic przy sobie ku obronie. Natychmiast wdziewam na nogi moje siedmiomilowe buty, i w chwili, gdy hyena miała mnie już pochwycić w swe pazury, dałem drapaka... Naturalnie, że mój kolega Obieżyświat wyśmignie się ze mnie, nazwie mię tchórzem i powie, że on by nie uciekał przed hyeną, i dał sobie z nią radę, tak jak dał sobie radę z wilkiem i niedźwiedziami. Na to ja mu odpowiadam, że gdybym chciał tak kłamać jak on, to bym powiedział, że nie ja hyeny ale hyena mnie się zlękła i uciekła — ale że lubię zawsze trzymać się prawdy, więc opowiedziałem, jak w rzeczywistości było.

VI.

FATALNA PRZYGODA, KTÓRA MIĘ MOICH SKOROCHODÓW POZBAWIŁA.

Powtarzam tedy jeszcze raz otwarcie, że widok czyhającej na me życie hyeny napędził mi takiego pietrka, że zmykałem jak strzała przez góry i doły, przez pola i lasy, aż wkońcu stanąłem na jednej wysokiej górze, a i ten przystanek nie tyle z własnej woli, ile raczej z musu zrobiłem; nagle bowiem stały się moje nogi tak ciężkiemi, że je ledwie unieść zdołałem. Przystanąłem tedy, aby sobie nieco odpocząć i namyśleć się, w którą stronę potem się udać. Gdym po chwili w dalszą ruszyć chciał drogę i w tym celu postąpić chciałem krok naprzód, przekonałem się, że moje nogi zostały jakąś siłą przykute do ziemi i ani na włos podnieść ich nie mogłem. "Dostałeś się z deszczu pod rynnę," pomyślałem sobie. "Nie

chciałeś być pożartym od hyeny w mgnieniuoka: teraz musisz umierać powolną śmiercią głodową!" I zacząłem złorzeczyć memu nieszczęsnemu losowi, ale zarazem i dochodzić przyczyny meg oprzykucia do ziemi. Wkrótce miałem już klucz do tej zagadki. No, i cóż, zgadnijcie, mogło mię tak nagle przykuć do ziemi? Oto miałem przy moich butach żelazne gwoździe i podkówki, a góra, na której stanąłem była magnesowa, i miała moc przyciągania żelaza. Przyciągnęła też tak owe buty z podkówkami i gwoździami do siebie, że ani mowy nie było o ich oderwaniu. Wiedząc już o tem, wiedziałem zarazem co dalej robić. Jakoż wyciągnąwszy nogi z butów, uwolniłem się z mego fatalnego położenia. Z żalem rozstałem się z memi skorochodami, które po dwakroć wyratowały mię z niebezpieczeństwa utraty życia, nie wyliczając przyjemności, jakich z ich posiadania doznałem.

VII.

O FUTRZANYM UBIORZE I BUTACH, KTÓRE OTRZYMAŁEM PO NASMAROWANIU MOICH LATOWYCH RZECZY MAŚCIĄ OD POROSTU WŁOSÓW I O PTAKU GADAJĄCYM.

Strasznie zimno się mi zrobiło, gdy bez butów przyszło mi chodzić po gołej ziemi i przedzierać się przez zarośla, których na owej magnesowej górze było pełno. Nieznośny głód także dotkliwie uczuwać się mi dawał, co wcale nie jest rzeczą dziwną, zważywszy, jak daleką odbyłem podróż. Zacząłem się tedy oglądać na wszystkie strony, czy nie widać gdzie w bliskości jakiej wioski lub miasta, gdziebym się mógł w nowe buty zaopatrzyć i się posilić. Ale jak okiem sięgnąć, nic takiego spostrzedz nie mogłem, coby zdradzało, że w bliskości ludzie się znajdują. Byłem tedy w niemałym kłopocie i obawie, że pomimo pieniędzy jakie w kieszeni

miałem, przyjdzie mi z głodu i zimna pożegnać się z tym światem. Do tego byłoby też z pewnością przyszło, gdybym był z tą myślą się pogodził, założył ręce i bezczynnie czekał, aż mi pieczone gołąbki przyjdą same do gąbki. Od czegóż jednak miałem głowę na karku? czy na to tylko, abym ją czapką lub kapeluszem przykrywał? Zaiste nie! Zacząłem zatem przemyśliwać, jakimby sposobem mogłem wydostać się z mego położenia, i zaraz przyszła mi szczęśliwa myśl do głowy. Przypomniało się mi, że od maści czyli pomady, od której mi niegdyś taka długa broda urosła, miałem jeszcze nieco w słoiku, wysmarowałem więc tą resztką pomady cały mój ubiór i szkarpetki na nogach, i o cudo! po kilku minutach zaczęły włosy jak młoda trawka wyrastać na mym ubiorze i szkarpetkach. W godzinę czy dwie miałem już na sobie futerko jak niedźwiedź; ale takiem też już pozostało, bo za zbyt mało było pomady, aby było mogło większe urosnąć. Zrobiło się mi też zaraz potem ładnie ciepło, i tak połowy mej biedy się poz-

byłem. Tu czuję się być zniewolonym podać do publicznej wiadomości następujące ostrzeżenie. Jakiś Zarozumialski ogłasza się po różnych gazetach, że za grube pieniądze nabył odemnie przepis fabrykowania pomady na porost włosów; fabrykuje też rzekomo podług tego przepisu jakąś bezskuteczną mikstur ę na porost włosów i sprzedaje takową po dość słonej cenie. Ażeby temu jego oszustwu koniec położyć, oświadczam tu publicznie, że ani Zarozumialski, ani nikt inny odemnie owego przepisu fabrykowania wiadomej cudownej maści na porost włosów nie nabył, gdyż, jak już Szanownemu Czytelnikowi wiadomo, spaliłem go był już dawno. Niechaj więc o tem każdy pamięta. i niepotrzebnie pieniędzy nie wydaje.

Nie cierpiałem teraz wprawdzie już zimna, ale za to głód coraz bardziej dokuczać mi zaczął; a tu nigdzie ani nawet jagódki znaleźć nie mogłem. "Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy," pomyślałem jednak sobie, i zacząłem się przypatrywać ptactwu, którego wkoło mnie było pełniusieńko.

Przytem przyszła mi genialna myśl do głowy, żeby schwycić sobie kilka z nich, upiec i w ten sposób ratować się od głodu. Bez długiego namysłu wyjąłem z kieszeni pęk nici, które na wszelki przypadek zawsze nosiłem przy sobie, narobiłem sideł i zastawiłem je na krzakach, na których najwięcej ptactwa przebywało. Nie trwało wcale długo a już kilka ptaków należało do mnie, z których po upieczeniu miałem wyborną potrawę. Właśnie zabrałem się do ogryzania ostatniej ptaszej pałeczki, gdy wtem odbiło się o me uszy następujące biadanie: "A to fatalny przypadek!... A, tom się złapał!" Rozglądam się ciekawie na wszystkie strony i cieszę się w duszy, że może znajdę człowieka, który mię z tego odludnego miejsca wyprowadzi; ale jak nikogo nie widziałem, tak niewidzę. Wtem padł mój wzrok na zastawione sidła, i ujrzałem w jednem z nich nowy posiłek dla mego żołądka w postaci sporego szpaka. Zbliżam się zatem do sidła i chcę ptakowi łeb ukręcić, tak jak to jego poprzednikom zrobiłem, gdy wtem

uwięziona ptaszyna zacznie się kiwać i przedstawiać się mi mówiąc: "Jestem balwierz z Sobiechowa!..." Kiedy tak, to szkodaby ci było łeb ukręcić, bo któżby potem golił ludzi, i to często bez mydła? odpowiedziałem na pół ze śmiechem, i darowałem życie biednemu szpakowi, zatrzymując go jednak u siebie w niewoli. To znalezienie gadającego ptaka przekonało mię, że w bliskości musi się koniecznie jaka wioska lub miasto znajdować, bo inaczej skądby się mógł wziąć szpak mówiący, przecież w odludnej okolicy nie mógłby się od swych towarzyszów ptaków nauczyć ludzkiej mowy. To zważywszy, ruszyłem z miejsca, aby się dostać między ludzi. Po długiem i mozolnem chodzeniu zeszedłem nareszcie z góry i dostałem się na drogę, którą pod wieczór tego samego jeszcze dnia dostałem się do miasteczka Sobiechowa! Tu spytałem się o mieszkanie balwierza, i odniosłem mu jego uciekiniera. Może każdy wystawić sobie radość balwierza z ujrzenia swego ulubionego szpaka, bez którego jego interes nie byłby długo się

ostał, bo ludzie nie tyle dla golenia ile raczej dla oglądania i słuchania szpaka przychodzili do niego. — Po kilku dniach pobytu w Sobiechowie, które spędziłem na prośbę balwierza w jego domu, i po sprawieniu sobie nowego ubioru i butów, udałem się do stołecznego miasta Belemele, gdzie jak donosiły gazety, miał za kilka dni przybyć człowiek o piętnastu głowach, i miał być pokazywany za pieniądze.

VIII.

O CZŁOWIEKU PIĘTNASTOGŁOWYM.

Widziałem już człowieka o dwóch głowach, o jednej ręce, o trzech oczach i wiele innych dziwolągów, ale człowieka o piętnastu głowach nie tylko dotąd nie widziałem, ale nawet o nim nie słyszałem; to też wyczytawszy w gaeztach, że ma taki człowiek przyjechać za kilka dni do Belemele, udałem się tam natychmiast. Gdym stanął w Belemele, by

ły już wszystkie hotele i oberże zajęte, ale kochane pieniążki, których w mej sakiewce nigdy się nie przebrało, zrobiły mi miejsce w tym samym hotelu, w którym miał zamówioną kwaterę ów człowiek piętnastogłowy. Nim on przyjechał upłynęło dni kilka, które spędziłem na oglądaniu osobliwości tego miasta, na zwiedzaniu teatrów, bibliotek, muzeów, galeryi obrazów i różnych rzeczy, które nie wszędzie oglądać można. Wreszcie pewnego wieczora zajechała przed hotel ogromna bryka, z której wysiadło najprzód dwóch panów po cudzoziemsku ubranych, a potem ukazał się człowiek nizkiego wzrostu w ogromnym kapeluszu aż do ramion sięgającym, tak że mu ani głowy ani twarzy widać nie było. Dwaj wprzód wysiadli panowie pomogli mu wyjść z bryki, i wziąwszy go pod ramię między siebie, udali się z nim do wskazanego im przez służbę hotelową pokoju, który jedną ścianą dotykał mojej kwatery. Ledwie drzwi się zamknęły za naszymi nowymi gośćmi, a natychmiast słyszeć się

dały w ich pokoju rozmowy, śmiechy, krzyki i hałas, jak gdyby tam z dwudziestu ludzi się znajdowało. Tymczasem było ich tam tylko troje, a między nimi — jak się już pewnie każdy domyślił — ów człowiek piętnastogłowy. Nazajutrz pierwszy złożyłem wizytę memu piętnasto-głowemu sąsiadowi, i dowiedziałem się że nazwisko jego było "Wielogłowski" i że każda jego głowa miała swoje osobne imię. Chciałem się jeszcze wiele więcej szczegółów o nim dowiedzieć, abym mógł je potem dalej opowiadać, ale coraz to większy napływ ciekawej publiczności nie pozwolił mi na długie badania w tym względzie. To mnie przynajmniej pociesza, że mogę Szanownym Czytelnikom podać tu jego fotografię, którą na moją prośbę raczył mi ałskawie darować na pamiątkę.

Niechże Szanowny Czytelnik dobrze się mu przypatrzy i łamie sobie głowę nad tem, skąd to pochodzić może, że jedna jego głowa jest goła jak kolano, podczas gdy inne mają to połowę to

wszystkie włosy na sobie; a dalej: czemu twarze niektórych głów wyglądają już dość podstarzało, podczas gdy inne nie zdradzają więcej jak piętnaście do dwadzieścia lat życia? czyby rzeczywi-



ście owe głowy nie były równego wieku?

Wracam jednak do zdania sprawy z mego pobytu u Wielogłowskiego i zaznaczam, że gdym wszedł do jego poko-

ju wszystkie jego piętnaście głów powitało mnie uprzejmie i odezwały się do mnie każda w innym języku. Gdy posłyszały, że mówię po polsku, wtedy ucichły te głowy, które tego języka nie znały, a przemawiała do mnie tylko głowa polska. Po zamianie kilku słów ze mną, zjawił się nowy gość, i znowu odezwały się wszystkie głowy każda w swoim języku do niego, a że poznały w nim Francuza, więc też tylko głowa francuska w rozmowę się z nim wdała, a wszystkie inne milczały. Ta powitalna procedura powtarzała się przy każdym nowym przychodniu. Gdy już gości sporo się zebrało, nastąpiły deklamacye i śpiewy pana Wielogłowskiego, a wszystkie wypadły bardzo świetnie, bo pan Wielogłowski między swojemi piętnastu głowami posiadał pierwszorzędne siły śpiewackie... Unosiłem się, prawda, i unoszę jeszcze nad śpiewem Wielogłowskiego, ale nie mniej podziwiam jego płuca, którym tchu nie zabrakło, gdy wszystkie głowy razem śpiewać zaczęły... Po skończonych śpiewach po-

żegnał się pan Wielogłowski ze swymi gośćmi, i każdy pospieszył do domu, aby się podzielić z tem co widział i słyszał ze swymi krewnymi i przyjaciółmi; ja także, podjadłszy sobie nieźle w hotelu, wyszedłem przechodzać się po mieście.

Gdym wieczorem wrócił pod mój numer, usłyszałem u mego hotelowego sąsiada Wielogłowskiego niezwykły hałas i kłótnie. Jedna z głów Wielogłowskiego wołała: "Dosyć już tego siedzenia: czas udać się na spoczynek!" Inna jej na to: "To zamknij oczy i śpij; ja muszę przeczytać sobie gazety, ażeby wiedzieć, co się dzieje w świecie!" Dwie głowy śpiewały duet z jakiejś opery, dwie inne zaś kłóciły się i lżyły w okropny sposób, a inne znów się na głos śmiały, jak gdyby za pieniądze. Jedna z głów prosi o szklankę wody, druga dopomina się papierosa, a trzecia tabaki. W ten i podobny sposób odzywała się reszta głów pana Wielogłowskiego, a jego ręce robiły co mogły, ażeby tym wszystkim żądaniom zadość uczynić.

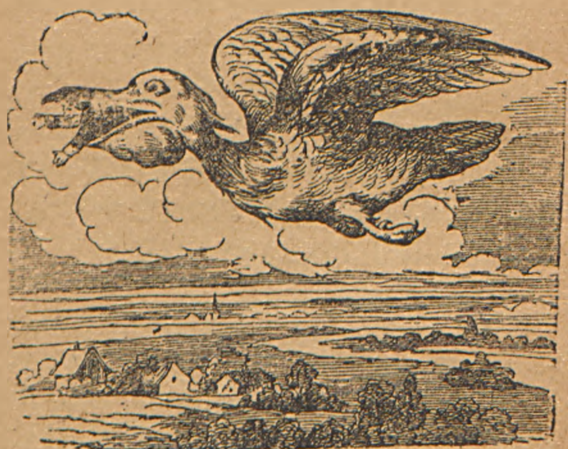
Ale mimo to hałas i wrzask nie ustawał. Naraz posłyszałem chlast! plast! w pokoju p. Wielogłowskiego, a zaraz potem nastąpiła u niego grobowa cisza. I ja także udałem się na spoczynek, bo nazajutrz zamierzałem w dalszą puścić się drogę po szerokim świecie.

IX.

O NIEZWYKŁEJ PODRÓŻY POWIETRZNEJ I O WYSPIE WSZELKIEJ POMYŚLNOŚCI.

Nazajutrz bardzo rano zbudził mię ze snu śpiew kosa, którego mój gospodarz miał w klatce przy oknie. Wstałem tedy natychmiast z łóżka, ubrałem się, związałem moje manatki, zapłaciłem hotelowe i ruszyłem w drogę. Nie tak mi ona jednak szła sporo jak niegdyś, gdy miałem buty siedmiomilowe; to też gdym uszedł trzy mile, było już południe, i słońce parzyło mię nielitościwie. Szczęściem, że stało drzewo przy drodze, w którego cieniu mogłem sobie od-

począć i posilić się przyniesionem ze sobą pożywieniem. Właśnie miałem zamiar powstać z murawy i wlec się powoli dalej, gdy w tem niespodzianie wpadł na mnie ptak ogromny, wziął mię w swój dziób i dalej ze mną w powie-



trze. Już teraz na dobre pożegnałem się z życiem, i nie żal mi już było mej sakiewki, która wraz z innemi mojemi manatkami została pod drzewem, bo i cóż mogły mi pomódz pieniądze w mojem położeniu? Leci tedy ze mną ptaszyna i leci, a ja przypatruję się pięk-

nemu światu, którego niezadługo oglądać już nie myślałem. Znajdowaliśmy się właśnie ponad środkiem morza, gdy spostrzegłem, że mój ptaszyna zaczął powoli zniżać swój lot. Sądziłem, że go już siły opuszczać zaczęły, i że lada moment skąpiemy się w morzu; tymczasem tak źle nie było, bo jak później się przekonałem, dążył on na niewielką wyspę, której przedtem nie spostrzegłem. Za chwilkę stanął też na niej, wypuścił mię z dzioba i poleciał do ogrodu, w którym jemu podobnych ptaków było więcej. Gdym się dobrze rozpatrzył, poznałem, że znajdowałem się w rynku jakiegoś niezwykłego miasteczka.

Było ono gustownie, pięknie zbudowane,
Cudowne i przyjemne, wałem opasane,
Wałem darnią okrytym: na jej liść pieszczony
Składał się tywtyk, jedwab, aksamit strzyżony;
A choć się czasem zdarzy, że niebaczne stopy
Nie wiedząc o zakazie przejdą te okopy

Przecież miasto zapłaty, zamiast uwię-
zienia,
Za karę trzy jedynie wydają westch-
nienia.
Domy są o dwóch piętrach, w każdem
oknie ganek,
Schody z bułek siedleckich, a okna z ła-
zanek;
Firanki z naleśników, frandzle z maka-
ronów,
Zamki z szynek, półgęsków, klucze z
salcesonów;
Wewnątrz dużych pokojów są prze-
smaczne meble,
Jakie chyba angielskie zdziałać mogą
heble.
Tam po trudach światowych śmiertel-
nik spoczywa,
Na noc kładzie się w pasztet, pasztetem
przykrywa;
Na ścianach wiszą torty, gdzie mądry,
cukiernik
Wyrył, co zdziałał Cezar, co odkrył Ko-
pernik;

W doniczkach rośnie bigos lub potraw-
ka z kury,
Podług uprawy ziemi i nasion natury,
Bowiem ziemia tej wyspy jest cudnej
zalety:
Posiać kostki z kotletów, zrodzą się ko-
tlety,
A kędy żyto, owies, albo jęczmień
wschodzi,
Zaraz się na niego w podle kupiec rodzi.
Dalej chcąc się rankową rozerwać go-
nitwą,
Wchodzi golić cerulik floransową brzy-
twą.
Sama taca przybywa, na niej czekolada
A zefir, by ją studzić, na imbryczku
siada,
To dmucha w filiżankę, to biszkopty
macza.
Wtem sto kamerdynerów dokoła ota-
cza:
Dają bogate suknie w różne cukry tka-
ne,
Kieszenie duże, liczne, gruszkami nap-
chane.

Zamiast guzików, pączki pulchne z powidłami,
Człowiek je czasem zrywa, żyje, guzikami.
Błoto z konfitur, lodów, a bruk tego miasta
Jest w pierogi leniwe i francuskie ciasta.
Nie żałuje tam człowiek, chociaż się pośliźnie,
Bo choć czasem upadnie, zawsze czegoś liźnie.
Gdy kurczenie żołądka uczujesz w południe,
Zaraz przynoszą obiad dziewoje przecudne.
Las szparagów tuż dąży za dzielną pieczenią,
Tu się bielą sandacze, tam raki czerwienią,
Kielich pełen szampana sam do gościa spieszy:
Rozmowa idzie śmiało, każdy człek się cieszy.

Gdy kto kichnie przy stole zdarzenia nie tracą,
Sto tysięcy mu życzą i zaraz je płacą.
Wreszcie piwo z węgrzynem dłoń do siebie nęcą,
Ledwo zeszły z obrusa już się w głowie kręcą.
Po obiedzie spoczynek. W wieczór nakształt wiatru
Na kołach watowanych spieszą do teatru.
Tam widzę cudne rzeczy . . . W grze aktorów zgodność,
Na parterze wspaniałość, w krytyce łagodność.
A w łożach orszadowych, zajętych przez wdzięki,
Słyszę hasło do brawa od łaskawej ręki.
Tańcami i śpiewami zachwyca się dusza,
I w górę się unosi, jak ród Machabeusza.

W tem szczęśliwem miasteczku byłbym niezawodnie pozostał do końca

mego życia, gdyby nie następujący wypadek.

X.

O MOIM POBYCIE W BRZUCHU WIELORYBA I O TEM, JAK SIĘ Z NIEGO WYDOSTAŁEM.

Gdym pewnego dnia po sutem śniadaniu zaczął się przechadzać nad brzegiem morza, wychylił się nagle z wody ogromny wieloryb i połknął mnie jak swego. "Już teraz po tobie!" pomyślałem sobie, ale w tej chwili przypomniały się mi rady jednego uczonego Francuza, które dał niegdyś Polakom. "Daliście się zjeść," mówił on, "nie dajcie się przynajmniej strawić!"*) Te słowa wziąwszy sobie do serca, powstałem natychmiast na nogi, zacząłem się przechadzać w mojem ciemnem więzieniu i rozmyślivać nad moim losem i nad sposobem uwolnienia się. Ta moja

*) t. j. nie zatraćcie swej narodowości i wiary.

przechadzka nie przypadła widocznie do smaku wielorybowi, bo nagle zaczął się rzucać na wszystkie strony, a potem pędzić jak strzała naprzód. Skorom to tylko zauważył, domyśliłem się zaraz, że to czynił z niestrawności, dlatego tem szybciej zacząłem się przechadzać i mu dokuczać. Wreszcie wyjąłem z kieszeni scyzoryk, aby nim domacać się żeber wieloryba i wyryć na nich historyę mego życia, i tym sposobem podać ją do wiadomości przyszłym pokoleniom. Mój pan wieloryb musiał być widocznie wielkim nieprzyjacielem oświaty i wiedzy, bo gdym zabrał się do uwiecznienia mej historyi na jego kościach, zaczął się strasznie wić i rzucać, a wreszcie skurczywszy się tak, że omało mnie nie zagniótł, wypluł mię z swoich wnętrzności na kilka staj od siebie. Znajdował się on wtedy właśnie niedaleko lądu, i temu to trafowi zawdzięczam, że wyleciawszy z paszczy wieloryba nie wpadłem w morze, lecz na ląd piaszczysty, gdzie już niczego nie potrzebowałem się obawiać.

To była ostatnia przygoda, jaka mię spotkała na mej wędrówce. Odtąd opuściła mię chęć włóczenia się po świecie i narażnia mego życia na niebezpieczeństwa. Szkoda tylko, że tak marnie straciłem moją sakiewkę, w której, jak wiadomo, nigdy się pieniędzy nie przebrało. Oj przydałaby się ona na dzisiejsze ciężkie czasy!

Bartłomiej Powsinoga.

DODATEK

STATYSTYKA ROSYJSKA O POLAKACH

W Moskwie ja żył ,biesiady z wami wiódł i do "czarnej" chodził, a w tem w Petrogradzie okazał się! Gazeta "Ruska Trąba" posłała mnie tutaj na konto waszych polskich spraw oświodomić się. Po prawdzie, powiedzieć, nadojedli mnie oni te wasze sprawy, a to gdzie nie zwrócić się, wszędzie o Polakach mówią i wszędzie Polaki nos swój suną. Powiedzieli, że wam razy trzy, że sprawa polska rozstrzygnięta, tak czego chcieć więcej? No nie moja to rzecz; róbcie wy tam, jak wiecie, a mnie przykaz redakcyi spełnić trzeba.

Tak do Petrogradu ja pojechał i niedługo myślący do Sołoniewicza zwrócił się. Sławny on mały ten Sołoniewicz i głowa u niego, jak puste gumno, ogromna. Lat temu dziesięć nazad Białorusinem był, no poznawszy, że od białoruskiego narodu wygody mało, na istinno-ruskiego nawrócił się i redaktorem "Siewiero-zapadnego Słowa" w Wilnie został, a teraz dział polski w "Nowem Wremieni" prowadzi. Specyalistem od polskich dzieł liczy się pierwszoklasnym, Polaków cierpieć ne może i każdy raz to im jaką niebądź pikę ostrą w miękkie miejsce wsunie. I tylko taki człowiek specyalistem być może, a t

jeżeliby on Polaków lubił, takby na ich wygodę pisał i niesprawiedliwość wyjść-by mogła. U nas pisarz Leontiew był słowianofil — znaczy, taki, co słowiańswo lubi. Słowiańswo on lubił, no o oddzielnych narodach słowiańskich mówił, że Bułgarów nienawidzi, że Czechów trzeba oddać na zjedzenie Niemcom, Polaków zruszczyć, a co do reszty Słowian to nul uwagi na nich. Tak i Sołoniewicz taką teoryę ma i po tej przyczynie w istoryi sławnym będzie, a rubli jemu przy życiu nigdy nie zabraknie.

Umywszy się i odziawszy, do Sołoniewicza ja poszedł i starym znajomym jemu odrekomendował się. Pisaniem on zajęty był i tylko kiedy ja wszedł, głowę od bumagi podniósł.

— Rad ja, że wy jawili się, a to trud u mnie ciężki. Pomożecie mnie statystykę robić.

— W czem dzieło? — spytałem.

— Niesprawiedliwość ja niesłyszaną i niewidzianą gromię. Czy wy wiecie, że Polaki na swoich bieżeńców 22 miliony 571529 kazionnych rubli dostali?

— Nie możć być! — powiadam. — Ot, by nam z wami choć część tej monety mieć!

— I sprawiedliwiej byłoby, a tak czort wie, co wychodzi. I zamyślił ja dokazać statystycznie, że niesprawiedliwość to wielka. Dawaj, będziem statystykę robić.

— A u was danne jest? — zapytał ja.

— Przy czem tu danne? Nie Niemiec że ja, żeby liczeniem akuratnem zabawiał się. U

mnie w duszy natchnienie statystyczne jest — tak i dosyć! Natchnienie sama główna rzecz i ono tylko do prawdy wiedzie. Ilu jest Polaków-bieżeńców w Rosyi?

— A skąd mnie o tem wiedzieć?

— A ja wam wraz powiem: ot, otwieram tę książkę, którą trzymam w ręce... na której stroniney otworzyłem ją?

— Sto trzynaście.

— Tak i napiszem. A teraz spojrzyjcie: który numer tego domu naprzeciw?

— Sześćdziesiąt jeden.

— Ładnie. Nu, a wy żonaty czy jeden na świecie?

— Jeden.

— Dopiszem jeden i w sumie dostaniemy 113,611... znaczy Polaków-bieżeńców jest w Rosyi 113 tysięcy 611.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się ja głośno i wziąwszy się pod boki, śmiał się dalej głośno.

— Wy nademną śmiejecie się? — spytał groźnie Sołoniewicz.

— Boże broń! — mówię. Tylko przypomniał ja, że kiedy strażnikiem ziemskim był, ze wszystkiem podobną statystykę robił. Zapytuje np. naczelnik, ile Maciej Sikora morgów gruntu ma? A czort-że jego wie! Spojrzał ja w okno, wrony na drzewie sidzą — liczyć ja ich zaczął: raz, dwa, trzy, cztery... Znaczy Maciej Sikora cztery morgi gruntu ma.

— I ładnie! Statystyk wy, widzę, także samo urodzony. No jedziem dalej. Jeżeli Po-

laków-bieżeńców tyle to a tyle tysięcy jest, tak, znaczy, ruskich więcej być musi, a to oni główny naród w Rosyi. Ile, po waszemu, więcej?

— Nu choć razy cztery.

— Dopuśćmy, cztery, choć to małowato, 113,611 umnożone na cztery, będzie 454,444 tysiące. Ot, jaka ładna cyfra! Jeżeli Polaki 22 miliony 571,529 kazionnych pieniędzy dostali — znaczy, na głowę przypada 198 rubli. A ruskie co? Dostali oni wszystkiego 626,000, a że jest ich 454,444, na głowę znaczy po rublu i czterdzieści kopiejek wypada. Ot jak! Polaki sto razy więcej dostali. I potem wszystkiem niech oni się na krzywdy żałują!

— Gładko wy swoją statystykę wyprowadzili. I idea jest i polityka, nietylko cyfry bezduszne. Wamby choć redaktorem statystycznego komitetu być.

— To można, a to pensya u tego redaktora niemałoważna. No mnie i druga myśl w głowę przychodzi.

— Pozwolicie dowiedzieć się, jaka?

— Do ministerstwa ja napiszę, może gdzie jaka katedra statystyki wakuje. A to za moje statytsyczne zasługi profesorem zostać nie będzie za wielka nagroda.

Pokłon wam się, miły pan Walentyj i waszej żonce. Święta mnie w Petrogradzie przepędzić się przyjdzie, a żal, bo u was w komodzie z tego ,co wasza żona z Warszawy, przywiozła, jeszczeby się jedna dwudziestak znalazła, na podlanie naszej starej warszawskiej drużby.

MĄDRY KADI

Opowieść arabska.

Pewnego południa gdy Ibn ben Dżazar, kadi Bagdadu, odstawił srebrem zdobioną nargilę, ażeby pokrzepić się dymiącą mokką — wszedł Hassan, jego sługa wierny i zapowiedział mu wizytę trojga ludzi, którzy przyszli ze sprawą do sądu.

Jakoż istotnie po chwili weszli dwaj muzułmanie prowadzący niewiastę, obyczajem wschodnim zasłoniętą na twarzy gęstym woalem.

— Panie! — rzekł jeden z nich — ja jestem Ali ben Hamzad, handlarz dywanami. Przed trzema laty oko moje ujrzało Fatmę, córkę Ibrahima bankiera; oświadczyłem się o nią ojcu i poślubiłem ją za jego zezwoleniem. W kilka tygodni później musiałem w interesach mego handlu w dalekie odjechać strony. Tam po części dla handlu, po części z powodu słabości musiałem zabawić dłużej i oto po trzech latach wróciwszy do domu, zastałem Fatmę żoną obecnego tu Mustafy. Zażądałem od niego z powrotem mojej żony, ale on mi jej oddać nie chce utrzymując, że należy do niego. Sędzio sprawiedliwy! rozsądź sprawę i nakaż mu, żeby mi zwrócił moją żonę.

Kadi pogłaskał siwą brodę.

— A teraz przedstaw ty tę sprawę! — rzekł do Mustafy, który przemówił w te słowa:

— Tak, sędzio i panie, to jest wszystko prawda, co ten człowiek tu opowiedział. Pozwól jednak, że opowiem to samo — inaczej Ali ben Hamzad odjechał i nie wracał. Po roku jego nieobecności żeglarz pewien przywiózł z obczyzny wiadomości, że Ali ben Hanzan w Egipcie zachorował i umarł. Fatma odbyła przepisaną po nim żałobę, a ja, który kochałem ją od lat dziecinnych, a nie poślubiłem dla ówczesnego ubóstwa mego, pomyślałem, że Allach zsyła mi z śmiercią Alego moje utracone szczęście — i oświadczyłem się jego wdowie. Fatma, która mnie oddawna kochała, zażądała jeszcze jednego roku zwłoki, ażeby się upewnić o zgonie męża — poczem została moją żoną. Przed tygodniem odbyło się nasze wesele, aż oto dzisiaj zjawia się Ali i żąda Fatmy dla siebie. Nie dałem mu jej, bo ja kocham ją, a ona mnie. Sprawiedliwy mężu! rozsądź nas według wielkiej mądrości swojej, a nie zabieraj nam szczęścia życia całego!

Kadi Dżazar pogładził znów srebrną brodę, pomyślał przez chwilę i rzekł:

— Wypadek to niezwykły i do rozsądzenia trudny. Na razie niewiasta nie należy do żadnego z was i zostanie u mnie, póki sprawy gruntownie nie rozważę i nie przywołam was obydwu do wysłuchania wyroku. Odejdźcie!

Odeszli tedy dwaj mężowie, aż po tygodniu obaj otrzymali wezwanie do Kadiego.

— Zażądaliście odemnie — rzekł — przed tygodniem, ażebym rozstrzygnął ciężką do rozsądzenia sprawę waszą o żonę. Niestety, mimo całego wysiłku mego rozumu nie byłem w stanie nic wymyśleć czy zdecydować... Zastąpił mnie w tem sędzia wyższy, bo Allach sam, który zesłał śmierć na waszą żonę Fatmę i zabrał ją do swego raju. Przywołany lekarz nie zdołał rozpoznać na jaką umarła chorobę... Dość, że dzisiaj ciało jej martwe spoczywa w alkierzu mojego domu i czeka na pogrzebanie.

Na tę wiadomość załamał Mustafa ręce z rozpaczą, a nakrywszy twarz płakał żałośnie.

— Co do kosztów pogrzebu, które są znaczne — mówił dalej Kadi — ponieważ obaj uznajecie nieboszczkę za waszą prawą żonę, trzeba ażebyście wspólnie te koszta ponieśli.

— O nie! — wykrzyknął Ali — ja nie płacę nic! Ta kobieta nigdy moją naprawdę nie była! Słyszałeś sam, o sędzio, że kochała Mustafę. Ostatnio była jego żoną, niechże nią zostanie i po śmierci. Ja odstępuję zupełnie od moich praw!

— Dobrze! — rzekł z płaczem Mustafa — wydaj mi ją sędzio dobry! Biedny jestem, ale chętnie poniosę koszta dla ukochanej kobiety!

— Weźże ją sobie! — zawołał Kadi i rozsunął zasłonę, z poza której żywa i piękna Fatma padła w objęcia Mustafy.

— Twoją będzie na zawsze!... Taki mój wyrok! — rzekł Kadi, a do Alego dodał:

— Ty zaś skoro skwitowałeś tu przedemną uroczyście z praw do niej, oddasz także i to dziś jeszcze do grosza posag, jaki za nią od jej ojca bankiera Ibrahima otrzymałeś. Gdybyś się wahał, pomogę ci tylu uderzeniami w pięty, ile cekinów wyliczył ci teść w posagu. Sądzę, że załatwimy rzecz w pokoju... Odejdźcie!

Tak rozstrzygnął sprawę trudną mądry Kadi.

MONOLOG

Mój panisko to chłop scyry!
Lat dziesiatków ma ze štyry,
Każdy mu to zawždy przyzna.

(pokazuje na włosy).

Choć już tutaj pstrzy siwizna.
A natura-ć to otwarta:
Do wypitki — do wybitki; —
Lubi fuzyę — lubi charta —
Jego... lubią znów kobietki!...
Na jesieni raz powiada:
— "Pojedziewa do Warsiawy."
Ha, toć jadziem, trudna rada!
Kaj cny dziedzic chce zabawy.
Zaprzęgliśwa do wąsaga
Štyry szkapska, jak się patrzy:
Lulkę, Myškę, Nurka, Pstrąga
I do stacyi — wio! raz, dwa, trzy!
. . . .

We Warsiawie — jak w Warsiawie
Rozmaite są tam dziwy:
Jest sad w mieście, ryby w stawie,
A na wierzchu łabędź żywy.
Są tam grzesne malowidła...

Białogłowów też nie mało,
No i jense takze sidła
I na duszę i na ciało....
Na ulicach jest klepisko
Gładkie — kiejby twarz Magdusi;
Knajpy w górze — sklepy nizko,
Wsyśko oko cłeka kusi!
A co tylo się obacy
I to dobre i to nęci!
Ha, a ludzie bystrzy jacy!
Bodaj-że was wszyscy Święci!!!
Raz powiada dziedzic do mnie:
— "Do tyjatru pójść nam trzeba."
Rozradował mnie ogromnie —
Ja w tyjatrze — święte nieba!
Nie widziałem takiej hecy,
Bo jej niema w Krzywym Łuku,
Więc piętami biłem... w plecy —
Śmiałem ci się do rozpuku! —
Przysedł wieczór. Pan w kajucie
Do somsiadek robił oko,
A ja — kiejby ptak na drucie
(pokaz. w górę).
Tam siedziałem het — wysoko!
Dali w rękę mi afise,
Więc kucnąłem w swoim kątku, -
Będąc ciekaw co tez pise,
Cytam kartki od początku:

"Exicator" napisano
I "Na włosy chińska kora"
Te dwie stuki grają? A no —
Cekam na Egzikatora, —
Późniéj ktoś mi rzekł z ochotą,
Zem ja ino ogłosenie
Na afisu cytał, bo to
Co insego jest na scenie. —
Nim zacęli hece jesce,
Tom się patsał na kobiety.
Az mnie siódme przesły dresce —
Co się dzieje! gwałtu! rety!
Jedna miała łeb jak banię,
(pok. uczesanie głowy)
Cała w górę pokręcona,
(pok. ręką biust)
No a tutaj... — Święty Panie!
Golusieńka wedle łona!!
W malowidłach różnych gęba:
(pokazuje policzki i brwi)
Tu cerwono — tu cerniono —
Az mi włosy stają dęba,
Po raz w życiu pierwszy pono!
Przy niej siedział graf pewnikiem,
(Bo miał w pudle jakieś ciasta),
Wciąż cęstował ją piernikiem,
Choć wzdragała się niewiasta,

Hrabie w paski był przyodzian,
(Rozszerzając palcami jedno oko)
W oku miał śkło od zegarka;
Tak z postury — zuch był młodzian
No i ona była śparka!
Raptem światła przyciemnili
U wszyściutkich zerandoli, —
Nie gapiłem się w tej chwili,
Bo na scynie grać zacęli. —
Aktur mówi, ze okrutnie
Kocha młodą jakąś Basię,
A akturka jak nie utnie,
— "Od kochania tobie zasię!...
A ty taki! ty owaki!
Jam to ciebie już nie godna?!"
I jak chwyci flaszkę z paki,
To wypiła ją aż do dna!
I grzmotnęła na podłogę,
A on szepnął: — "Ah, umiera!"
Później wrzasnął: — "Nie, nie mogę
Na śmierć twoją patrzeć tera!"
I poleciał. Chłop nie głupi!
Po co trutkę wziena ona!
Na niej więc się bieda skupi,
Skoro baba jest szalona!

Alem krzyknął z całej siły:
— Po doktora niech kto pośle!
Wtem... tuż za mną... Jezu miły!
Ktoś powiada: — "Cichoj, ośle!"
Chciałem bez łeb rznąć go, ale
Znowu światło z lampek bije,
A ja patrząc się na salę,
Myślę sobie: — Ot bestyje!
Coś nie dłużej — w kwandrans moze
Dwa aktorzy wnieśli mięso,
A jam wrzasnął: — Wielki Boże
W piątek? a niech was roztrzęsą!
Wtem spoglądam niedaremnie:
Myślę se: — He, gamuń ze mnie —
Toć ja ślicnie się zabawię!
Lurynetka tkwi przy ławie
Patsę w lupę i... o rety!
Wstyd jeść mięso w postnym casie!
A aktory żrą kotlety,
Tuz pod okiem ołeka zda się!
Gęb zgłodniałych tam nie mało,
Tyjatr wielki stał się na raz, —
Aż krzyknąłem, bo się zdało,
Ze to moze być ambaras...
Aż tu znowu — brzdęk! z sielestem
To kutryna rżnie na głowę!...
Święte nieba! gdzież ja jestem?!
Mam choróbsko mieć gotowe!!

Rzucam lupę i afise —
Wsyćko na raz na dół leci;
Później krzyki, wrzaski słysę:
Krzycą starcy, drą się dzieci!
Przysedł do mnie pan wspaniały —
W kark mi wlepił ze dwie pięści,
Wybałusył przytem gały.
I powiada: — "Mars do cęści!"
Cny dziedzicu, ratuj! — krzycę;
Uciekł dziedzic po tej hecy,
A mnie wzięni na ulicę
I okrutnie zbili plecy... —
Lupa padła na łysinę

(wsk. palcem na dół)

Gościa, co tam miał siedlisko —
I ja — nie bez moją winę —
Sześć dni w kozie-m siedział blizko!
Od tej chwili nie chcę huku
Bodaj u nas w Ksywym Łuku! —
Z Magdą... hejze... to zabawa!! —
Znać — nie nęci mnie Warsiawa!

ODWAŻNY NIEMIEC

Słynny podróżnik Nansen, ogłosił pewnego razu, iż poszukuje do wyprawy podbiegunowej ludzi zdrowych i odważnych. Na to zgłosił się do niego pewien barczysty Niemiec i oświadczył, że nie lęka się żadnych niebezpieczeństw.

— Zobaczymy — odrzekł Nansen. — Stawaj tu prosto, tak, jak jesteś w kapeluszu i podnieś ręce do góry.

Niemiec spełnił w lot rozkaz, a Nansen wziąwszy z biurka rewolwer, wypalił raz i trafił Niemca pod pachę, przedziurawiając mu surdut pod pachą. — Niemiec ani drgnął. — Nansen strzela drugi raz w okolicę głowy Niemca i przestrzelił mu nowiusieńki kapelusz. Niemiec i tym razem nie drgnął, lecz najprzód silnie poczerwieniał, a następnie trochę pobladł.

— Dobrze — rzecze na to Hansen. — Przyjmuję cię do wyprawy, widzę, że jesteś odważny, niedrgnąłeś nawet na skutek strzału. Chcę ci jednak zapłacić zaraz odszkodowanie za ubranie uszkodzone przy tem doświadczeniu.

— Za ten surdut?

—25 marek odrzecze Niemiec.

— Za kapelusz?

— 5 marek, odpowiada Niemiec, nie ruszając się z miejsca.

Za tem jesteśmy kwita — rzecze Nansen.

— Należy mi się jeszcze za spodnie — mówi Niemiec.

— Jak to? — zapytał Nansen zdziwiony. Przecież do spodni twoich nie strzelałem...

— Tak, pan nie, ale ja strzeliłem i takie tam spustoszenie, że nie wiem, jak się ruszyć i gdzie się przebrać.

W takim razie masz 10 marek i na wyczyszczenie spodni, ale takich zuchów mi nie potrzeba, możesz odejść.

91